№ 41.

Warszawa, dnia 10 Października 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

**CENA.** **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b.* w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom dawniéj Krzemińskiego.*

# POGAŃSKIE HORDY

I

# MIECZ JANA SOBIESKIEGO.

(Dokończenie)

Kiedy zdobycie obozu Turków u podnóża zamku Chocimskiego dopełnione zostało i po trzygodzinném mordzie pogańskiéj tłuszczy, przejmującéj strachem całą Polskę, Niemcy i Węgry, pozostały tylko kupy trupów i zwaliska na pobojowisku rumieniącém się krwią nieprzyjaciół krzyża; wzniesiono ołtarz i przy nim stanął ksiądz Przeborowski, ten sam co pobłogosławił wojowników przed rozpoczęciem bitwy. Wojsko szeregami z obnażonemi z chełmów głowami otoczyło go wkoło, a gdy się skończyła Ofiara Pańska, kapłan przemówił, wystawiając moc Opatrzności Boskiéj i cudowną opiekę Boga nad obrońcami krzyża.

— „I gdzież te liczne zastępy, dodał w końcu, gdzie to miasto namiotów co idąc z mordem i pożogą, co bluźniąc Bogu Jedynemu, miały pogaństwu dać tryumf aż po brzegi Baltyku? Gdzież jesteś pyszny i dumny Husseimie, coś urągał garstce walecznych zbliżających się pod twój obóz, okopany, opalisadowany, i broniony dalekonośnemi działami?

Oto Bóg skinął palcem swego gniewu, i jak trawa ścięta kosą, padło wszystko trupem. Gwarny obóz bezeceństwem i sromotą, zaległa cisza śmierci, i tam gdzie przed chwilą wznosiły się buńczuki z półksiężycem, błyszczy krzyż tryumfująco, a wkoło niego stoją rycerze zanosząc dziękczynne modły. Ukórzcie się więc bracia w Chrystusie, padnijcie na kolana przed potęgą majestatu Bożego, a ja kapłan, niegodny sługa Chrystusowy, w Imieniu Boga Wszechmogącego, w Swiętéj Trójcy Jedynego, w Imieniu Najświętszéj Marji Panny, błogosławię was w Imię Ojca i Syna i Ducha Swiętego, na wieki wieków. Amen.'

Po przemówieniu, kapłan zaintonował hymn dziękczynny do Pana Zastępów, wojsko ze łzami

rozrzewnienia zawtorowało, i pieśń pobożna chrześcijańska to wznosząc się, to przycichając, płynęła w dalekie stepy, unosząc się po nad trupami gęsto zaściełającemi pobojowisko.

Gdy Bogu oddano powinną cześć, zawezwano zamek w Chocimie, jeszcze niezdobyty, do poddania się, i zajęto się pogrzebaniem krwawych szczątków okropnego boju. Wojsku polecono spoczynek i przygotowanie się do szturmu, gdyby załoga zamkowa odrzuciła podane sobie warunki, ale komendant pojął krytyczne położenie i kapitulował. Ludzkie i wspaniałomyślne obejście się z nieprzyjacielem, tak ujęło paszę dowodzącego Kamieńcem, że Sobieskiemu przysłał w podarunku stu jeńców polskich trzymanych przez niego w niewoli. Po krótkim odpoczynku, Sobieski umiejąc zarówno zwyciężać, jak i korzystać ze zwycięztwa, ruszył natychmiast dla dalszego oczyszczania kraju z hord barbarzyńskich. Kapłan-pasza, którego Sobieski najpierw pragnął zniszczyć silnym napadem, dowiedziawszy się o klęsce swoich pod Chocimem, nakazał jak najśpieszniejszy odwrót, i pragnąc go, choćby w jednéj chwili dokonać, cały swój obóz pod Cecorą spalił i obrócił w perzynę, a sam z hordą uciekł po za Dunaj. Jednocześnie Turcy zaczęli śpiesznie ustępować ze wszystkich przez siebie pozajmowanych zamków, znacząc odwrót okropném niszczeniem, Jassy uległy największemu rabunkowi, Multany zaś i Wołoszczyzna prosiły o opiekę nad sobą zwycięzcy.

Pośród tych zajęć i podążania wojsk polskich ku Dunajowi, nadeszła wiadomość, że d. 10 Listopada 1673 roku, czyli w przeddzień wielkiego zwycięztwa pod Chocimem, we Lwowie umarł król Michał, po pięcioletniém niespełna panowaniu, i w trzydziestym piątym roku życia swego. Sobieski zniosłszy 25,000 muzułmanów zasłaniających Wołoszczyznę i dowiedziawszy się, że sułtan na samą wieść pochodu jego ku Dunajowi, uciekł z Sylistrji aż do Konstantynopola, oddał się cały wyparciu Kapłana Paszy tułającego się po lasach Bulgarj:, i porozumieniu się z Doroszeńką i z deputowanemi z Multan i Wołoszczyzny. Nadeszła wiadomość o śmierci królewskiéj popsuła wszystko, każdy zamiast myśléć o dalszéj służbie pod bokiem Sobieskiego, któraby zapewniła Polsce nie tylko zabezpieczenie się od Turka i Tatarzyna, ale i powagę od Kozaków i Wołoszy, zajął się naradą i przypuszczeniami, kto będzie królem i kiedy nastąpi elekcja. Wprędce też Pac z wojskiem swém wrócił do kraju, za nim zaczęły wymykać się całe województwa tak, że Sobieski w pośród najświetniejszych nadziei pomyślnego ukończenia układów z Doroszeńkiem i Wołoszą, ujrzał się nagle otoczony nader szczupłą garstką wojowników, którą także według rozkazu Prymasa zmuszony został wkrótce opuścić.

Jak tylko wieść o rozejściu się sił polskich doszła do wiadomości upokorzonych nieprzyjaciół, natychmiast Kapłan-Pasza wstrzymał się z odwrotem, Wołoszczyzna wpadła w stan wahania się i niepewności, hospodar wołowski żądając opieki polskiéj udał się do Konstantynopola z wynurzeniem żalu i pokory, załoga w Kamieńcu odzyskała odwagę i ani myślała warowni téj opuścić, układy z Doroszeńką zupełnie ucichły, a wszyscy nie mogli pojąć, jakim sposobem wojsko przed chwilą tak groźne i pełne chwały. mające świetne owoce zwycięztwa prawie w ręku, porzuciły je i rozprysły się, jak w ucieczce po doznanéj klęsce. Główną przyczyną tego było opuszczenie obozu przez Paca z wojskiem litewskiém, który nienawidząc Sobieskiego od lat przeszło dwudziestu, a lękając się jego przewagi moralnéj w narodzie, podniesionéj nowym blaskiem zwycięztwa Chocimskiego, postanowił pilnie strzedz elekcji, aby tron przypadkiem nie dostał się mężnemu pogromcy pogan.

Tymczasém kraj cały i Warszawa nic jeszcze nie wiedzące o pogromie barbarzyństwa, zaległa cisza i żałoba ogłoszona zaraz po śmierci króla Michała przez Prymasa królestwa i legata stolicy apostolskiéj Florjana księcia Czartoryjskiego. Zaprzestano zabaw i igrzysk publicznych, festynów, uczt i zebrań pańskich, słowem wszystkiego, coby mogło przerywać poważne myśli owdowiałéj Rzeczypospolitéj, zagrożonéj odwiecznym wrogiem chrześcijaństwa. Przytém okropna niespokojność zaprzątała wszystkich o los wojska, które w tak szczupłéj garstce poszło zasłaniać kraj od najazdu tureckich i tatarskich krociów.

Owdowiała po królu Michale Eleonora córka Ferdynanda III cesarza, Sobieskiego miała za zgubionego, a aga wysłannik Mahometa IV z hardą dumą dopominał się od stanów, wypłacenia haraczu, przynależnego Porcie warunkami umowy w Buczacu. Kraj dzieląc uzasadnione te obawy, i patrząc z upokorzeniem na natarczywość agi, postępującego śmiało i z lekceważeniem, jakby w kraju podbitym, w śmiertelnéj zostawał trwodze, wyglądając z drżeniem i boleścią serca, strasznych wieści o spodziewanéj klęsce szczupłych sił Sobieskiego i o postępie hord pogańskich w głąb kraju aż za Warszawę. I w śmiertelnéj téj obawie, liczącéj godziny i minuty jak męczennik wyciągnięty na torturach, upływały dnie po dniach, a żadna najmniejsza wiadomość nie przerwała strasznéj ciszy panującéj do koła. Wtém wieść

niby chłodny wietrzyk w dzień parny jak kropla wody odwilżająca usta spieczone pragnieniem, zaszemrała cichym szeptem o zwycięztwie pod Chocimem. Naród z radością dał posłuch tak miłéj wieści, ale zgnębiony nieszczęściem i obawą, zapomniał o Opatrzności, i nie mogąc uwierzyć temu co się stało, wprędce wieść poczytał za bajkę, i powrócił do dawnéj trwogi.

Były to już jednak ostatnie chwile strasznéj niepewności. Dnia 4 Grudnia a więc dopiero w dwadzieścia trzy dni, do Warszawy przybył wysłannik Sobieskiego z doniesieniem, że Bóg pobłogosławił orężowi polskiemu pod Chocimem, i zgromiony nieprzyjaciel na głowę, ucieka z pośpiechem z ziem Rzeczypospolitéj. Radość ogarnęła wszystkich; świątynie, pałace i domy zabrzmiały pieniami tryumfu, żałoba zniknęła śród uroczystych obchodów zwycięztwa, i sama nawet królowa zdjęła szaty smutku, żeby mogła brać udział w ogólnéj wszystkich radości.

Przede wszystkiém jednak otwarły się wszystkie świątynie, lud na klęczkach napełnił przybytki Pańskie, i o sklepienia starożytnych kościołów obiła się pieśń tryumfu chrześciańskiego i dziękczynne modły za wyrwanie narodu z groźnego niebezpieczeństwa. Europa dowiedziawszy się o tych nowych cudach męztwa zastępów Sobieskiego złożyła także dzięki we wszystkich świątyniach za to najpamiętniejsze zwycięztwo, jakie od lat trzechset odniesiono nad niewiernemi. Gazeta francuzka z roku 1673 ogłaszając szczegółowy opis bitwy Chocimskiéj, nie szczędzi pochwał tak dla oręża polskiego jak i dla dzielności miecza Sobieskiego, rozwodząc się szeroko nad zasługami względem Europy mężnéj garstki walecznych naszych praojców. Zwycięztwo bowiem pod Chocimem, wstrzymało wylew pogaństwa nie tylko na Polskę, ale i na całą Europę; cały więc świat chrześcijański dzieląc trwogę, podzielił i radość, i zwycięztwo Sobieskiego uznał za ocalenie własne. Ale gazety nie poprzestały na tém, a przywodząc, że zwycięztwo pod Chocimem przypadło właśnie zaraz na drugi dzień po śmierci króla Michała, wyprowadzały z tego wniosek, że Opatrzność sama wskazała, kto ma być po nim następcą, zwłaszcza że zwycięztwo ocaliło tron, chwiejący się i walący pod nawałą tureckiéj i tatarskiéj dziczy.

Papież Klemens X w zamian odebranéj chorągwi zdobytéj na Husseimie pod Chocimem, chcąc dać dowód szczególnéj swéj dla Sobieskiego życzliwości, przysłał mu w podarunku szablę poświęconą, zwykły dar stolicy apostolskiéj królom polskim. Była to więc jakby zapowiedź przyszłéj królewskiéj godności Sobieskiego, a w każdym razie uznanie, że na nią męztwem, poświęceniem i mieczem własnym zasłużył. We Francji domyślano się na pewne, że wdzięczny naród ofiarą korony wynagrodzi bohatera, co go w tylu niebezpiecznych razach prawie od nieochybnéj zguby ocalił. I stało się jak przewidywał, ale zapomniano o prywacie możniejszych, o niechęci, zazdrości, szarpiących Rzeczpospolitą, dla tego nie tak łatwo przyszło do tego, czego się Europa spodziewała. Cały przebieg sprawy elekcyjnéj opiszemy późniéj, a choć w niéj znajdziemy wiele plam ciemnych, nie braknie jednak światła, co ciemność ułagodzi, i oświeci całą tę chwilę życia narodu, wykazując zacność duszy Sobieskiego, i szlachetność narodu zawsze wydobywająca się na wierzch z pod pleśni, brudu i ciemnicy, ile tylko razy podała się do tego choćby najmniejsza sposobność.

Przedstawiony obraz obejmuje opis czynów wojennych Sobieskiego, od chwili powrotu z podróży po Turcji, aż do zwycięztwa Chocimskiego i obrania go królem, czyli od roku życia dwudziestego pierwszego, do czterdziestego czwartego. Dwadzieścia więc trzy lat jak Sobieski z mieczem w ręku walczył pogany, i własną pierś nadstawiał na wszystkie razy i pociski wymierzone przeciw rodzinnéj jego ziemi. On, bogaty, wykształcony, młody i urodny, wszystko co nęci i pociąga do życia odrzucał z pogardą, a wierny obowiązkowi dobrego syna matki ojczyzny, taniec z poganami z mieczem w ręku, przenosił nad najwyborniejsze bale i assamble, a świst kul i szczęk oręża, nad szepty salonowe, w melancholicznych natchnieniach wydmuchane. Wiedział, że służba krajowi, to obowiązek, to trud, głód, niewywczas i poświęcenie. Szafował téż krwią i szkatułą, i gdy cała Rzeczpospolita ciężar obrony własnéj powierzała Opatrzności, zatapiając się w miłéj drzémce, jak za najlepszych czasów, on sam jeden porzucał żonę ukochaną, ściągał ochotników, płacił, uzbrajał, i szedł na przeciw wrogowi, aby mu dać poznać dzielność swego miecza i przegnać go precz po za granicę. Te téż ziomkowie czcili go jak bohatera, pogaństwo na samą wzmiankę nazwiska drżało jak liść na drzewie i często bez bitwy szło w rozsypkę, a Europa uwielbiała i głosiła hymny pochwalne na część i chwałę bohatera.

Jakie dalsze były jego czyny wojenne jako króla, opowiemy późniéj, któréj zas z Czytelniczek zdarzy się być w Warszawie, niechże pośpieszy na most Sobieskiego w Łazienkach, i przyjrzy się téj dzielnéj postaci tratującéj turków i tatarów. Pomnik ten postawił król Stanisław, a w czasie

wypadłéj ztąd uroczystości, ktoś bardzo trafny położył wierszyk.

Stanisław, co nas.... sławy zbawił,
Janowi Sobieskiemu ten pomnik wystawił,
Koszt łożył sto tysięcy, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.

---

# KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Powróciwszy przed trzema dniami z małéj wycieczki do Gandawy, mam sobie za obowiązek przesłać Wam niektóre wrażenia, jakich doznałem w tém starożytném a czcigodném mieście belgijskiém, do którego w bieżącym miesiącu napływ ludności krajowéj i cudzoziemców ze wszystkich stron świata był niezmierny.

Dwa były główne powody tego zjazdu: pierwszym, posiedzenia Towarzystwa międzynarodowego dla postępu nauk społecznych; drugim, odsłonięcie pomnika Jakóba Artevelde, znakomitego w pierwszéj połowie czternastego wieku obywatela Gandawskiego, bogatego piwowara, który stanąwszy na czele partji ludowéj przeciw książętom de Nevers, hrabiom Flandryjskim, i sprzymierzonéj z niemi Francji, wprawdzie walkę tę życiem przypłacił (19 Sierpnia 1345 r. został zamordowany), ale swobody, a tém samém pomyślność swojego miasta rodzinnego na zawsze utrwalił. Na ceremonji odsłonięcia statui obecnym był, wraz z rodziną, sam król Leopold I, który tym sposobem uczcił wielkiego patrjotę z ludu, w epoce zwłaszcza, w któréj patrjotyzm zdawał się wyłącznym jeszcze przywilejem książąt i szlachty. O samym posągu, utworze pana de Vigne Quyo, artysty bruxelskiego, niewiele Wam powiem: jest to figura szlachetnego i prostego układu, o liniach surowych i czystych, wykonana starannie i ze smakiem.

Nierównie większego znaczenia pod względem ogólnym był kongres międzynarodowy dla postępu nauk społecznych, który w roku zeszłym posiedzenia swoje odbywał w Bruxelli. Oczywiście nie może tu być moim zamiarem zdać sprawę dokładną ze wszystkich uczonych prac zgromadzenia, chociaż każdemu wiadomo, że jak pierwszą podstawą gospodarstwa rodzinnego jest Ekonomja domowa, tak najważniejszą także podporą gospodarstwa narodowego Ekonomja polityczna i wszystkie od niéj zależne gałęzie. Ale z tych właśnie gałęzi nauk pomocniczych Ekonomii, zapatrujących się na dobrobyt społeczny ze stanowiska wyższego moralności i zacności człowieczéj, kongres Gandawski niektóre roztrząsał kwestje, którym powszechnéj ważności, żywotnego zwłaszcza dla chwili obecnéj znaczenia, odmówić nie podobna: na nie zatém, choć w krótkiém streszczeniu postanowiłem zwrócić uwagę.

Kongres, rozpocząwszy z wielką uroczystością posiedzenia swoje dnia 13 Września, podzielił się na pięć sekcji, z których pierwsza zajmowała się naukami prawnemi, druga wychowaniem, trzecia moralnością, literaturą i sztuką, czwarta dobroczynnością i hygieną publiczną, piąta nakoniec kwestjami dotyczącemi Ekonomji politycznéj właściwéj.

Pierwszym na porządku dziennym był rozbiór pytania: „Czy postęp materjalny zaszkodził sztuce i uczuciu w sztukach pięknych? na które za najwłaściwszą uznano odpowiedź zawartą w drugiéj kwestji: Jak najlepiéj zastosować wypada sztuki piękne do przemysłu? Rozwiązując tę kwestję, p. Doguée z Liège nader wymownie wykazał potrzebę wykształcenia artystycznego dla rękodzielników, epoka bowiem nasza stara się pogodzić piękne z pożyteczném. Za najlepszy ku temu środek uważał zakładanie muzeów kopji arcydzieł artystycznych, do których pod kierunkiem swych nauczycieli uczęszczać powinni uczniowie szkół elementarnych, a obok tego w wielkich centrach przemysłu zakładanie szkół sztuki przemysłowéj, nakoniec, w towarzystwach zachęty sztuk pięknych ustanowienie premiów dla robotników, rzemiosła swoje obrabiających artystycznie, razem z premiami dla samych artystów. Sekcja jednozgodnie przyjęła te propozycje i zarazem wyraziła życzenie, iżby nauka muzyki stanowiła oddzielny przedmiot wykładu we wszystkich szkołach ludowych.

Na wniosek p. Alexandra Weill, znanego publicysty z Paryża, zajęto się następnie roztrząsaniem kwestji, czyli dla zapewnienia sobie należytego wpływu na epokę współczesną, każdy pisarz, chociażby nawet genialny, prywatném swojém życiem stać powinien na wysokości swoich utworów? Kwestja ta w saméj rzeczy paląca, a p. Weill w jéj rozbiorze nie wahał się złożyć na literaturę współczesną, a szczególnie na jéj koryfeuszów, całéj odpowiedzialności za nędzę moralną naszego czasu. Ale nieobecnych tych znakomitości literackich bronił świetnie p. Ulbach z Bruxeli.

„Ludzie genjuszu, mówił, niemniéj dlatego są ludźmi: owszem, są oni całą ludzkością, ze wszystkiemi jéj słabościami, obawami, burzami, z całą jéj niepewnością i zwątpieniem, tylko wyrażanemi w formie nieśmiertelnéj i przejmującéj do głębi:

dlaczegóż więc czynić ich odpowiedzialnym za to, czego sami nie wywołali, lecz co jedynie dostrzegli i odczuli? Jeżeli myśli swoje wypowiedzieli z szczerością, to już one na sumienia nasze źle oddziaływać nie mogą.“

P. Ulbach, jak widzicie, zamierzył jedynie bronić literatury przeciwko zarzutowi, jakoby swojemi obyczajami wpłynęła na upadek obyczajów powszechnych, nie zapuszczał się zaś wcale w rozbiór niemiłosiernych owych sądów o czynnościach prywatnych, z których niektórzy usiłują tworzyć sobie argumenta, usprawiedliwiające zdrożności zwyczajnych śmiertelników. Sądźmy pisarzy jako pisarzy i nie mówmy, że ich talent dla tego jest zgubny, iż jeden z nich siedzi w długach po uszy, albo że drugi powoduje się częstokroć próżnością i samolubstwem. Tego samego zdania byli panna Royer z Genewy i p. Toucher de Careil z Montpellier. „Ludzi genjalnych mówili, oceniać należy spokojnie, nie zapominając o wdzięczności, na jaką dobrodziejstwa ich zasługują. Alboż to mało, że umysłom naszym dostarczyli przedmiotów do zajęć wznioślejszych? i czyliż dlatego, że wielki pisarz pod jednym względem jest niezmiernie wyższą istotą, mamy już prawo domagać się po nim wszystkich wyższości, lub też bezpowrotnie potępiać go, jeżeli życie jego mniéj jest doskonałe od jego utworów?”

W sekcji dobroczynności i hygieny zajęły mnie szczególnie rozprawy o niezbędnéj organizacji pomocy lekarskiéj po wsiach, o ulepszeniach mieszkań klassy roboczéj miejskiéj i wiejskiéj, oraz o korzyściach i szkodach sal ochron i żłobków. Pojmujecie, że mówiąc o tych szkodach, miano jedynie na oku podkopanie przez podobne zakłady węzłów miłości rodzinnéj, czego u nas w każdym razie jeszcze tak prędko obawiać się nie ma potrzeby: ciekawém tylko było przyznanie się reprezentantów zachodniéj cywilizacji do coraz większego zwolnienia owych węzłów.

Z pomiędzy licznych projektów do organizacji pomocy lekarskiéj, po wsiach, najlepiéj podobał mi się wniosek ustanowienia dyspensorjów, czyli aptek filjalnych po gminach, oraz zaopatrywania ubogiéj ludności wiejskiéj w bony czyli bilety, z któremiby się w razie choroby udawać mogli do tych z sąsiednich lekarzy, w jakichby największe pokładali zaufanie. Lekarzy, równie jak apteki, wynagradzanoby w takim razie z funduszów gminnych. Ileż to jeszcze u nas wody upłynie, zanim o czémś podobném będzie można pomyśléć? Jak na teraz przynajmniéj, cała taka organizacja skupiać się jeszcze musi w naszych żonach i córkach, bo najprzód największe zaufanie dotąd wiejscy chorzy nasi miewają zwykle w zamawiających babach i w wódce z pieprzem, a powtóre, gdzie tu spodziewać się rychłego osiadania lekarzy i aptekarzy po wsiach, kiedy liczne, po części porządniejsze nawet miasteczka bez nich jeszcze się obywają.

Mimochodem już tylko i w kilku wierszach wspomnę, że w Gandawie istnieje od lat wielu Akademja Ogrodownictwa, która na spodziewany wielki zjazd tegoroczny urządziła tu świetną wystawę, wraz z kongresem, również międzynarodowym, najznakomitszych pomologów (trudniących się w sposób naukowy uprawą i hodowaniem owoców). Prezydował temu zebraniu p. Baumann z Gandawy, sam pierwszorzędny ogrodnik, który z niewielkiéj cieplarni winnéj, założonéj przed sześcią laty, zebrał w roku zeszłym 20,000 olbrzymich gron niezrównanéj dobroci! Głównym téż celem Akademji jest rozmnożenie owoców do nieskończoności, dla zyskania tym sposobem ich coraz większéj tanności; uchwalono oraz założenie wielkiego ogrodu wzorowego, pod kierunkiem tegoż p. Baumanna.

*Paryż, d. 27 Września.*

*

---

*
* *

Pewien agronom francuzki, jak nam donoszą gazety, miał wynaleźć środek prosty, zupełnie nie kosztowny, który w rezultacie ani mniéj ani więcéj, tylko o jedną trzecią część powiększy zbiórkę zboża we Francji, czyli przysporzy jéj dochodu rocznie siedemset piędziesiąt miljonów franków. Rolnicy chwyciwszy się skwapliwie tak złotego pomysłu, przedsiębrali stanowcze próby w całéj niemal Francji, i Sierpień w roku przyszłym stanowczo rozstrzygnie, czy wynalazek owego agronoma mający zabezpieczyć Francją od głodu i nędzy, jest praktycznym i nieomylnym w swéj obietnicy, i czy ludzkość wynalazcę ma nazwać szarlatanem, czy dobroczyńcą.

Jakkolwiek wierzę, że plon zboża dotychczasowy, nie tylko o trzecią część może być powiększony, ale nawet z czasem podwoi się i potroi, jestem jednak najzupełniéj przekonany, że rezultata te nie dadzą się otrzymać za użyciem jakichś tajemniczych specyfików lub środków jednorazowo przedsiębranych, tylko przy pomocy wytrwałéj pracy, zabiegu, starania, nauki i cierpliwości.

Swiat bowiem stworzony jest niejako jakby warsztatem, z którego człowiek przy pomocy czasu, ręki i głowy, w pocie czoła wydobywa wszystko, co mu potrzebne do życia, wygody i przyjemności. Dlatego też co mamy, z czego tylko pożytkujemy, od najdrobniejszéj szpilcczki do wspaniałego gmachu, okryte jest trudem i mozołem miljonów ludzi, świadczącemi o prawdzie przysłowia polskiego, że:

Bez pracy,
Nie ma kołaczy

Coby zaś przychodziło bez tych czynników, zupełnie mi jest tajemniczém.

Prawda ta jasna jak słońce, na każdym kroku, zawsze i wszędzie bijąca w oczy, nie ma przecieć uznania jak na to zasługuje, i choć ludzie niby w nią wierzą, niby przyznają całą jéj zasadność, przy najmniejszéj jednak sposobności odtrącają ją od siebie i z wyciągniętemi rękami, wytrząsając ostatnie groszaki z kieszeni, chwytają pierwszy lepszy pomysł, obiecujący bez wielkiego trudu wielkie korzyści.

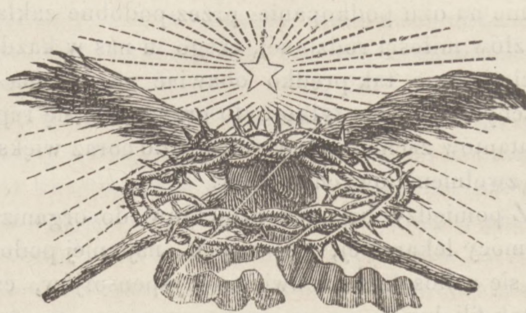
Dlatego też Hygienę naukę zachowania zdrowia zastąpiły zupełnie różne ogłaszane medykamenta zagraniczne, aby utrzymać zdrowie, bo pierwszéj trzeba się uczyć i przez całe życie mieć ją w pamięci i zastosowaniu, gdy drugie dosyć połknąć, i popić wodą. Dlatego na trud pracy powszechnie narzekając, z uśmiechem i bijącém sercem gonimy za pierwszą lepszą nadzieją nadzwyczajnego zysku, bo praca choć bogaci, ale wolno i z mozołem, a loteryjki, spekulacyjki i karteczki często w jednéj chwili. Dlatego młodzież obierając stan, w miastach rzuciła się do biur rządowych, na wsiach do gospodarstwa, bo chcąc być czémś innym choćby najprostszym rzemieślnikiem, trzeba pracować nie baraszkować, uczyć się i nabywać ciągle potrzebnych wiadomości, gdy w biurze dosyć siedzieć, starać się o protekcję i myśléć o niebieskich migdałach, na wsi zaś szeroko rozprawiać o agronomji, zajeżdżać konie za chartami, i posażnemi pannami.

Przed kilką laty, kiedy z takim zapałem rzucono się do polepszeń gospodarstwa wiejskiego, jeden z młodych agronomów ogłosił cudowne skutki otrzymane z nasypki proszków sztucznie przyrządzonych, drugi znów, wziął w szczególną protekcję bydło holenderskie, dowodząc że dosyć kupić kilka lub kilkanaście sztuk, aby rogaciznę krajową przekształcić w rassę wyborowéj mleczności. I nie zważając na nic, na wszelkie najbardziéj uzasadnione przeciwne rozumowania, na otaczającą nas naturę, w któréj nawet najlichsza trawka potrzebuje pewnego czasu i odpowiednich warunków, aby zdziebełkiem wydobyć się z ziemi, wytrząśnięto ostatni grosz z kieszeni, zapożyczono się a nawet zrujnowano na kupno tak zachwalonych środków, i ma się rozumiéć nowego doznano zawodu.

Mógłbym tu wiele podobnych przytoczyć przykładów, dowodzących szczególnéj pohopności, do chwytania się z największą zapalczywością, każdego pomysłu, przedstawiającego aptekarski środek na zyskanie szybkiéj korzyści, ale sądzę że i tego będzie dosyć na przekonanie, że lenistwo głównym jest grzechem nie tylko naszego społeczeństwa, ale całéj ludzkości i obszerném polem zysku dla wszelkiego rodzaju szarlatanerji. Każdy przyznaje że czas i praca jedynie ludzi zbogaca, tak moralnie jak materjalnie, mimo jednak tego niechby ogłoszono np. jaki eliksir, mający w skutkach zrobić nas Krezusami lub Salomonami, a sypną się miljony na jego kupno.

W chwili wyjścia niniejszego numeru dnia 10 Października, przypada sto dziewiędziesiątletnia pamiątka zwycięztwa Jana Sobieskiego pod Chocimem, które w obszerniejszym artykule już opisaliśmy. Papież Grzegorz XV przychylając się do prośb Biskupów polskich, postanowił, aby dzień ten w którym Europa zasłonięta została od najazdu turecko-tatarskiego, uroczyście był obchodzony, co potwierdził następca jego Urban XIII. Na podziękowanie przeto Panu Bogu, wiekuistemi czasy w dniu 10 Października, odprawiają się po kościołach nabożeństwa i pacierze kapłańskie.

---



Przy nadchodzącéj jesieni okrywki ciepłe stanowią najważniejszą część ubrania, o nich więc mówić będziemy w dzisiajszém sprawozdaniu naszém, Noszą je trojakie: naprzód burnusy kuliste bez rękawów, nie zbyt długie, sięgające poniżéj kolan; powtóre, paletoty średniéj długości, mniéj lub więcéj wcięte do stanu; nakoniec płaszczyki z peleryną albo z szerokiemi rękawami. Jedne z nich przybierają pasmanterją, inne okładają materją pi-

kowaną, niektóre naszywają w deseń, kręconym sznurkiem, grubszym od zwykłego sutaszu. U wielu uważaliśmy wyszyty sznurkiem łańcuszek, z wypuszczonemi nadpowietrznie pętelkami. Burnusy obszywają u dołu grubą frendzlą ze szneli wełnianéj, u szyi zapinają na srebrną klamrę z haczykiem złożoną z dwóch główek, lub rozety, inne zaś spinają od góry do stanu, na sześć srebrnych guzików, okrągłych jak kule, wielkości tureckiego orzecha.

Wspomniawszy ogólnie o okrywkach, powiemy szczegółowo o tych które świeżo nadeszły do magazynu pana Szlenkera.

Uważaliśmy między innemi piękny burnus syberynowy, objęty wkoło pletnią, wyszyty sznurkiem w deseń, spinał się z przodu na pięć srebnych okrągłych guzików, i tyleż szmuklerskich pętelek, kołnierza nie było żadnego, tylko wyszycie wkoło szyi.

Drugi burnus miał oba przody naszyte pletnią w drabinkę. Samym brzegiem dany był rząd okrągłych guzików, po drugiéj stronie szły pętelki. U dołu wyszyty był sznurkiem łańcuszek, z wypuszczonemi ząbeczkami.

Trzeci burnus. obszyty u dołu frendzlą, spinał się na sześć baryłek danych ukośnie po obu stronach, i tyleż pętlic szmuklerskich.

Pomiędzy płaszczykami, zwrócił uwagę naszą syberynowy, z peleryną długą, przechodzącą tylko od łokcia do przodu, naszytą w drabinkę pletnią i guzikami. Kołnierzyk u niego mały wyłożony.

Drugi miał przody przybrane w drabinkę klapkami z pikowanéj materji. Rękawy szerokie spadające, odpowiednio były ozdobione. Klapki te wycięte w ostry ząb kończyły się guzikiem.

Trzeci płaszczyk miał na wierzchu chusteczkę wyszytą sznurkiem; deseń naśladował pasmanterją. Rękawy naszyte były stosownie.

W pośród zwyczajnych paletotów, przybranych po większéj części szmuklerskiemi pletniami lub materją pikowaną, uważaliśmy niektóre wpadające prawie do figury, przeznaczone dla młodych osób.

Podobał nam się także krótki paletocik z pluszu wełnianego podszyty fularem, wyborny do pokoju, równie jak krótka marynarka sukienna, naszyta takimże samym suknem w kotwice, na kieszeniach, rękawach i plecach.

Uważaliśmy oprócz tego znaczny zbiór kaftaniczków greckich i postyljońskich. Niektóre z nich bogato wyszywane sutaszem, inne pasmanterją, z grelotkami. Jeden z nich ogarnirowany był podwójną ruszą z czarnego tybetu. Do najmodniejszych należą, wyszywane czarną sznelą w ciągniony deseń.

---

# Nowości Zagraniczne.

*Le Moniteur de la mode.* Pasy szwajcarskie, stały się panującą modą. Robią je z materji lub aksamitu, obszywają koronką lub ruszą jedwabną, do wielu z nich dodają szelki lub baskiny.

Pojawiły się nowe kaftaniczki, zwane *kora.* Widzieliśmy taki z sukienka zaokrąglony z przodu, zakończony z tyłu baskiną. Wkoło obszyty był torsadą szmuklerską, z grelotkami u brzegu. Rękawy ścięte do łokcia i otwarte, miały naramienniki z pasmanterji. Na każdym szwie naszyta była torsadka.

W magazynie pod Skubjozą uważaliśmy kilka pięknych sukien. których tu opis podajemy.

Suknia czarna *moire antique*, kulista nie odcinana w stanie, miała po bokach kieszenie wyszyte w deseń sznelą. Rękawy ścięte do łokcia naszyte były sznelą w podłuż, przybrane naramiennikami, mankietami odpowiedniemi. Ozdobę stanika stanowiła berta, a raczéj pelerynka szmuklerska, z frendzlą sznelową.

Inna suknia czarna mantynowa, miała przód spódnicy naszyty pasmanterją wenecką, pomięszaną z paciореczkami z lawy. Przód stanika podobnie był przybrany. Naramienniki z pasmanterji, i podobna baskina, pięknie odpowiadały całości. Małe kwaściki z pacioreczek, zakończały brzegiem pasmanterją.

Podobał nam się téż bardzo szlafrok czarny kaszmirowy, obłożony materją szkocką białą z czarném. W ogólności uważaliśmy wiele wyrobów wełnianych na suknie w szkocką kratę, popielatą lub czarną z białém.

Ukazuje się wiele rotond i paletocików, z pluszu jedwabnego, przybranych sznelowemi frendzlami.

Do najmodniejszych kołnierzyków należą batystowe obszyte gipiurą, do niektórych wszywają małe kwadraciki z gipiury. Rękawki mają zwykle prosty szeroki mankiet, spięty na kilka guzików.

*Les modes parisiennes.* Staniki z baskiną i oznaczonym kaftaniczkiem, bynajmniéj nie wychodzą z mody, oznaczają je pasmanterją, albo frendzlą sznelową.

U niektórych kapeluszy, widziemy pod karczkiem przytwierdzone zręcznie siatki, przeznaczone do pomieszczenia włosów. W ogólności kapelusze z rondem wgiętem *à la Marie Stuart* należą do najmodniejszych.

Widziemy także czepeczki i fanszoniki w tym rodzaju. to jest zakończone po nad czołem w ząb, który powinien wpadać pomiędzy nioby, w takim razie nioby mają być zbliżone do siebie.

Do codziennego ubrania, noszą bluzki z alpagi, wyszywane sznureczkiem, lub wszywką gipiurową na podwleczeniu. Robią je także z tybetu. Rękawy u tych bluzek tém się różnią od dawnych, że bywają ścięte do łokcia, i wolne aby ręka przejść mogła.

Czepeczki ranne zdobią powszechnie wstążką w kratkę szkocką.

Na okrywki jesienne, służą w tym roku rotondy z kaszmiru lub flanelki w kratę, obszyte frendzlą z grubéj szneli wełnianéj.

Do sukien gładkich fularowych dodają takież same rotondy lub paletociki ozdobione frendzlą sznelową.

Widzieliśmy w tych czasach bardzo ładne paski postyljońskie z karoczkiem przybrane do koła grelotkami. Robią je zwykle z czarnéj mantyny, noszą do wszystkich sukien.

---

## Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń do chustki od nosa, nad gładkim obrębkiem lub na poszewkę.— N. 2. Kołnierzyk złożony ze wstawki haftowanéj i muszlinu układanego w zakładki. Naokoło obszywa się marszczoną walansienką.— N. 3. Połowa mankieta. Z boku zeszywa się mankiet i otwór jest tylko przy saméj ręce.— N. 4. Kanzut czarny tiulowy garnirowany gipiurą.— N. 5: Kołnierzyk czarny krepowy wyszyty cieniutkim jedwabnym sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym i czarnemi perełkami. Listki haftują się czarnym jedwabiem.— N. 6. Połowa mankieta.— N. 7. Deseń do wyszywania sutaszem. — N. 8. Deseń na chustkę do nosa nad gładkim obrębkiem. N. 9. Wzór pelerynki wkształcie kaftanika greckiego z długiemi szarfami do wiązania z tyłu. Pelerynki takie zwykle się robią z czarnego bareżu albo tiulu, do wyciętych staników; używane są także do sukien żaknotowych.—N. 10. Wzór pelerynki z przodu.— N. 11. Wzór rękawka z mankietem prostym w guście bransoletki, koniec jeden znacznie jest dłuższy i opuszczony. — N. 13. Suknia ciemno-popielata wełniana, ubrana czarnemi fularowemi ruszami. Rękawy i stanik oznaczony ma kaftaniczek temiż ruszami. Fryzka biała karbowana. Krawatka czarna jedwabna. Figura 2. Suknia czarna mantynowa, obszyta u dołu falbanką fałdowaną, powyżéj materją karbowaną, i aksamitką. Paltot jedwabny ozdobiony grubą pletnią jedwabną i falbanką. Kapelusz czarny z jedwabnego rypsu *à la Marie Stuart*, z opuszczoną chusteczką koronkową nad czołem. Figura 3. Suknia gładka kamlotowa, z stanikiem postyljońskim.

*Ubranie panienki*. Spódniczka rypsowa obszyta trzy razy aksamitką; takiż sam pasek. Bluzka biała żaknotowa.

Figura 5. Suknia czarna bareżowa, garnirowana falbankami, które zakończone pliską jedwabną. Stanik gładki na jedwabnéj podszewce, zapięty na lawowe guziki.— N. 13. Kołnierzyk płócienny wyszyty czarną bawełną, zakończony brzegiem czarnym sutaszem w ząbki. N. 14. Penioar z popielatego płócienka chińskiego, w czarne paski, z falbaną u dołu suto namarszczoną.— N. 15. Wzór czesania i ubrania głowy.— N. 16. Rękawek batystowy z płóciennym mankietem.— N. 17. Szlaczek do haftowania falbanki i wstawki. — N. 18. Litery F. L. do znaczenia poszewek. P. T. do znaczenia chustek.

## *Opis pelerynki, fartuszka dziecinnego, i deseń do wyszycia sutaszem.*

N. 1. Forma pelerynki w kształcie kaftaniczka greckiego jak Figura pod N. 9. i 10. na stronie drugiéj przedstawia.— N. 2. Karczek do fartuszka białego perkalowego, który się wyszywa czarnym sutaszem.— N. 3. Połowa rękawka.— N. 4. Całośc fartuszka.— N. 5. Deseń do wyszycia sukni lub okrycia taśmą i sutaszem.— N. 6. i 7. Desenie do pikowania czarnym lub białym jédwabiem spódniczek czarnych kamlotowych na wacie.— N. 8. 9. 10. i 11. Desenie do rozmaitego użytku.

---

## DONIESIENIA.



---

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

---

Do dzisiejszego numeru, dołączają się desenie do haftu, oraz forma fartuszka dziecinnego, pelerynki i deseni do wyszycia sutaszem.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

**Dodatek do Nru 41 Tygodnika Mód.**

*Warszawa dnia 10 Października 1863 roku.*

---

# JAN HALIFAX

## POWIEŚĆ M[ss] MULLOCH

SPOLSZCZONE Z ANGIELSKIEGO.

**przez S. P.**

---

— Ustąpże panu z drogi, ty włóczęgo, zawołała Salomea Watkins, moja stara piastunka, stojąc w otwartych drzwiach domu.

— Wychiliłem z wózka głowę, i ujrzałem małego chłopaczka w łachmanach, obryzganego błotem, spojrzał na mnie i na ojca mego; posłuszny wezwaniu, usunął się z drogi.

— Czemu tak mokniesz na deszczu mój chłopcze, rzekł ojciec; stań sobie pod murem, będzie dosyć miejsca i dla nas i dla ciebie.

To mówiąc ojciec, popchnął wózek na kółkach, w którym siedziałem, w ciasną uliczkę. Chłopczyk spojrzał na niego z wyrazem wdzięczności, zbliżył się i zaczął mu pomagać.

Miał on rękę szeroką, poczerwieniałą od pracy, lubo nie zdawał się starszy odemnie. Cóżbym był dał za połowę jego wzrostu i siły.

— Może paniczyk wysiądzie, i odpocznie trochę przy ogniu — rzekła uprzejmie Salomea.

Trudno mi było poruszać się i chodzić; wolałem też pozostać w wózku, który ojciec wtoczył pod wystawę.

Chłopiec stał oparty o mur, z oczyma wlepionemi w rynnę, z któréj woda wypływała z łoskotem. Twarz jego miała wyraz smutny i poważny. Dziś po latach czterdziestu, pomnę dobrze te rysy pełne znaczenia, te czarne oczy, ocienione gęstemi brwiami, te usta śmiało zarysowane, tę brodę wydatną, oznaczającą niepospolitą moc duszy.

Wzrost jego dorodny był i krzepki, jak na czternastoletniego podrostka; co do mnie mały i wątły z natury, miałem w poszanowaniu wszelką siłą fizyczną. Członki jego rozrosłe, szerokie ramiona, cera zdrowa, włosy płowe i bujne, wszystko to silnie odbiło się w mojéj pamięci: widzę jeszcze tę brudną i ciasną uliczkę, z któréj można było dostrzedz zielone pola; widzę te otwarte drzwi domów, z po za którychłsłychać było gwarliwe szczebiotanie dziatwy, widzę w blizkości dom mera z obszerną wystawą, a daléj odwieczną wieżę opactwa, ocienioną drzewami; promień słońca, przedarł się nagle przez chmury, i rozjaśnił widnokrąg.

— Deszcz niedługo ustanie — rzekłem.

— Chłopczyk nie słyszał mnie, tak głęboko był zadumany.

Ojciec mój czekał niecierpliwie końca deszczu. Patrząc na niespokojną twarz jego, domyślałem się, że pragnął jaknajprędzéj dostać się do swojéj garbarni.

Spojrzał na gruby zegarek, który nigdy nie chybiło sekundę.

— Straciłem dwadzieścia trzy minuty — rzekł, mój chłopcze, dodał zwracając się do mnie, rad nie rad muszę cię zabrać z sobą, gdyż nie mam czasu, abym cię mógł odprowadzić do domu.

Skinąłem na to głową.

Ojciec mój, Abel Tletcher, wiele cierpiał, że miał syna tak jak ja niedołężnego; w szesnastym roku życia, byłem mały i wątły jak dziecię.

— Czekajno, rzekł ojciec, może tu znajdę kogo, co cię odprowadzi; dam mu za to dwa pensy.

Posłyszawszy te słowa — nieznajomy chłopiec zarumienił się, postąpił naprzód parę kroków.

— Ojcze! rzekłem półgłosem....

— Panie, odezwał się chłopiec zdejmując dziurawy kapelusz, szukam zarobku; czy mogę zapracować te dwa pensy?

Ojciec zmierzył go bacznie wzrokiem.

— Jak się zowiesz chłopcze?

— Jan Hallifax.

— Skąd przybywasz, bo widzę żeś obcy.

— Z hrabstwa Kornwalis.

— Czy nie masz rodziców?

— Nie.

— Wiele masz lat?

— Czternaście.

— Czyś przywykły do pracy?

— Tak, panie.

— A cóż chcesz robić?

Wszystko, co mi wpadnie pod rękę.

Słuchałem niespokojnie tych pytań.

— Dobrze, rzekł ojciec po chwili milczenia; zaprowadź mego syna do domu, dam ci za to cztery pensy. Czy chcesz, abym zgóry zapłacił, to mówiąc włożył w kieszenie rękę, i pobrzękiwał pieniędzmi.

— Nie panie, odrzekł chłopiec, dostanę zapłatę, kiedy zarobię na nią.

Ojciec wsunął mi w rękę pieniądze, i nie zważając na ulewę i błoto poszedł z pośpiechem do garbarni.

Deszcz padał; czekaliśmy aż ustanie, Jan Halifax oparty o mur jak poprzednio, nie miał chęci wchodzić w rozmowę. Raz tylko widząc, że drżę od zimna, obwinął mnie starannie moim płaszczem.

— Pan nie bardzo mocny, jak widzę — zagadnął.

— Tak na nieszczęście, odrzekłem.

I patrzał znów przed siebie. W bliskości, jak mówiłem, stał dom mera, z wielką wystawą, o czternastu oknach. Jedno z tych okien otwarte było, przez nie wyglądało kilka małych główek. Były to dzieci mera; znałem je wszystkie, lecz nie miałem bliższych z niemi stosunków, gdyż ojciec ich był prawnikiem, mój zaś właścicielem garbarni. Dzieci poglądały zdaleka; śmiejąc się z nas, rade że są pod dachem wczasie słoty.

— Biedny Jan Halifax, pomyślałem — z zazdrością pewnie patrzy na ten piękny pokój, na ten obiad zastawiony na stole.

W téj chwili inna głowa, ukazała się przez okno. Była to głowa starszéj nieco panienki, widywałem ją nieraz, widziałem, że przyszła zabawić się z dziećmi mera. Popatrzała na nas i znikła. Wkrótce potém drzwi się uchyliły; głośna wrzawa panowała w głębi pokoju; dobiegało nas tylko parę słów oderwanych.

— Ja tak chcę, powiadam wam — ja tak chcę!

— Nie rób tego panno Urszulo.

— Ale mówię wam, ja tak chcę!

To rzekłszy dziewczynka przecisnęła się gwałtem, stanęła w progu, trzymając nóż i bułkę chleba, z której odkroiła spory kawał.

— Masz chłopcze rzekła, podając chleb Jankowi, głodny jesteś jak widzę.

Wtém bona, wciągnęła ją do pokoju, i zatrzasnęła drzwi z łoskotem. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie.

— Na ten krzyk, Janek zadrżał; spojrzał w okno, nie było w nim nikogo. W chwilę potém, przeszedł na drugą stronę uliczki, podniósł z ziemi chleb, który panienka upuściła.

W owym czasie pszenny chleb był dla biednych osobliwością. Lud prosty, nieczęsto go jadał; karmiąc się zwykle czarném żytem, Janek Halifax, patrzał okiem zgłodniałem, na ten kawałek chleba. Wahał się chwilę, wreszcie począł go jeść pomału. Skoro deszcz ustał, ruszyliśmy drogą prowadzącą ku opactwu. Janek popychał milcząc mały wózek.

— Jakiś ty mocny, rzekłem z westchnieniem, pomnąc na własną nieudolność.

— Dzięki Bogu za to, odrzekł, potrzebna mi też siła! muszę pracować na życie.

I posunął spieszniéj wózek, postępując śmiałym krokiem, z podniesioną głową.

— Cóż ty robiłeś dotąd, zapytałem.

— Co mogłem; nie obrałem dotąd stanu.

— Radbyś zapewne wyuczyć się czego?

— Wahał, się jakby rozważał, co powiedzieć.

— Była chwila, rzekł, iż pragnąłem zostać tém czem był ojciec.

— A czemże on był?

— Uczonym, i szlachcicem z rodu.

Odpowiedź ta, któréj nie spodziewałem się wcale nie bardzo mnie jednak zdziwiła. Ojciec mój lubo garbarz i syn rzemieślnika oceniał jednak korzyści szlachetnego rodu i pamiętał, że przodkowie jego mieli w kraju znaczenie i zasługi. Jeden z nich Fineas Tletcher, był niegdyś autorem poematu: *Wyspa purporowa*. Ojciec chlubił się z tego, i dał mi nawet jego imie.

Pojmowałem więc, że tak biedny chłopiec, jak Janek Halifax, mógł w rzeczy saméj należyć do szlachetnéj choć zubożałéj rodziny.

— Wtakim razie, rzekłem, możebyś nie chciał wziąść się do rzemiosła.

— Dla czego nie, paniczu. Cóżby mi to szkodziło.

— A twoja matka czem była?

Janek odwrócił głowę; zarumienił się nagle, usta mu zadrżały.

— Ona umarła rzekł: Nie mogę znieść, aby obcy mówili o niéj.

Przeprosiłem go: widać było, ile ją kochał, ile cierpiał nad jéj wczesnym skonem; nie chciał jednak, aby obcy czytali w jego sercu. Po chwili milczenia rzekłem, iż pragnę, abyśmy wkrótce przestali być dla siebie obcemi.

— Doprawdy, pragniesz pan tego? zapytał,

i uśmiechnął się z wyrazem wdzięczności a uśmiech ten, przeniknął mi serce do głębi.

— Zwiedziłeś pewnie kawał kraju, zapytałem.

— O tak, odrzekł — zwłaszcza przez ostatnie trzy lata. Pracowałem jak mogłem; to zbierałem chmiel, to kopałem kartofle; ale w tym roku chorowałem ciężko na tyfus, nie mogłem więc pracować.

— I cóżeś w tedy robił?

— Leżałem w stodole dopókim nie wyzdrowiał.

Teraz jestem zdrów, nie lękaj się pan niczego.

— A czegóżbym się miał obawiać?

Wkrótce przystaliśmy wzajem do siebie. On prowadził mój wózek z szczególną troskliwością. Minąwszy miasteczko, dostaliśmy się na drogę, prowadzącą ku staremu opactwu, ocienioną pięknemi drzewami, przez które przedzierał się uroczy słońca promień. Janek podniósł z ziemi wielki liść kasztanowy, w formie wahlarza.

— Jak piękny liść — nie prawda rzekł, podając mi go, szkoda tylko że zapowiada rychłą jesień.

— A cóż ty będsiesz robił zimą, zapytałem, kiedy braknie w polu roboty.

— Albo ja wiem?

Twarz jego smutny przybrała wyraz, wyrzucałem sobie, że mu sprawiłem przykrość.

— A otóż jesteśmy i w domu, rzekłem na skręcie drogi.

I ukazałem obszerny dwór z wystawą, otoczony w koło parkanem.

To państwa dom? rzekł Janek, w takim razie — żegnam panicza.

Zadrżałem: obecność biednego chłopczyny, rozpromieniła na chwilę życie moje. Rozłączając się z nim czułem jakby mrok zapadał mi znowu nad głową.

— Nie, nie żegnam cię jeszcze — rzekłem wysiadając z wózka, i wchodząc pomału na wschody.

Janek przyskoczył mi w pomoc, pozwól panicz wziąć się na ręce i zanieść.

Ja poradzę paniczowi; to będzie tak zabawnie. Poczciwy chłopiec. obrócił rzecz niby w żart, nie chcąc mnie zadrasnąć, przypomnieniem mojéj niedołężności. Głos jego tkliwy był, jak głos kobiety. Objąłem go ręką za szyję, podniósł mnie lekko i w mgnieniu oka postawił przed drzwiami; poczem zabierał się znów do odejścia.

Serce uderzyło mi silnie. Nie pamiętam już, co mówiłem, dość żem go przywołał znów do siebie.

— Czy mogę jeszcze pomódz w czem paniczowi?

— Nie nazywaj mnie paniczem; jam taki chłopiec jak ty. Potrzebuję ciebie; nie odchodź jeszcze, mój drogi. Ale otóż i ojciec.

Janek usunął się na bok, zdjął kapelusz w chwili, kiedy starzec przechodził koło niego.

— Jesteś tu jeszcze? a miałeś staranie o moim synu? Czy ci zapłacił cztery pensy.

Żaden z nas nie pomyślał nawet o pieniędzach.

Ojciec rozśmiał się, nazwał Janka poczciwym chłopcem, sięgnął do kieszeni, po inną sztukę srebra. Szepnąłem mu coś na ucho, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Janek tymczasem oddalił się po raz trzeci.

Zaczekaj chłopcze, wołał ojciec. — Oto cztery pensy, a tu szyling w dodatku za to, żeś był dobry dla mego syna.

— Dziękuję panu — ale czyż mam brać zapłatę za to, że byłem dobry?

Wziął cztery pensy, zostawiając szyling w ręku ojca.

— Hm — mruknął zadziwiony starzec; szczególny chłopak z ciebie; ale nie mam czasu rozmawiać dłużéj z tobą. Chodź na obiad Fineas. A możeś ty głodny Janku — zapytał, jakby nagłą uderzony pychą.

— Czym głodny? O tak, bardzo głodny!

I dwie łzy błysnęły w oczach biednego dziecka.

— Chodź na obiad, rzekł ojciec, kładąc mu rękę na ramieniu; ale powiedz mi wprzód, czy twój ojciec porządnym był człowiekiem?

— Tak jest odpowiedział Janek widocznie oburzony.

— Pracujesz więc na kawałek chleba.

— Tak, ilekroć znajdę robotę.

— Czy nie byłeś kiedy w więzieniu.

— Nie byłem — zawołał z gniewem. Ja nie chcę pańskiego obiadu. Byłbym go przyjął, gdyż panicz prosił mnie o to, a on tak dobry dla mnie. Ale kiedy tak, wolę odejść!

Jest ustęp w piśmie Świętém dziwnie przejmujący, który mówi:

„I stało się że kiedy Dawid przestał mówić do Saula, dusza Jonathasa przystała do duszy Dawidowéj tak mocno, że Jonathas ukochał ją, jak własną duszę.”

I ja też stokroć nieszczęśliwszy niż Jonathas— znalazłem w tym dniu Dawida mego.

Ująłem go za rękę, i nie chciałem go puścić. Chodźcie chłopcy, bez tych wszystkich korowodów, rzekł ojciec sucho.

Trzymając za rękę Janka, wprowadziłem go pod dach rodzicielski.

## II.

Obiad się skończył. Jedliśmy go zwykle w obszernéj sali, wyłożonéj posadzką dębową. Wielki stół obstawiony wysokiemi krzesłami, stał w pośrodku; pod ścianą widać było rzeźbiony kredens, zegar z wagami, wymierzając głośno sekundy, przerywał zwykłą ciszę.

Nie śmiałem wprowadzić biednego chłopca do pokoju w obecności ojca mego; ale kiedy po obiedzie ojciec poszedł znów do garbarni, posłałem co żywo po Janka.

Joanna przyprowadziła go. Joanna jedyna kobieta, która miała do nas przystęp. Nie było w niéj śladu niewieściéj słodyczy i tkliwości. Wówczas tylko gdy byłem bardzo chory, serce jéj miękło jak wosk.

Zgadłem od razu, że w kuchni zaszła gwałtowna jakaś burza.

— Ten chłopak zjadł obiad — rzekła Joanna nie ma tu już nic więcéj do roboty; nie dla panicza towarzystwo z tym żebrakiem.

Żebrakiem! ten wyraz rozsmieszył mnie, tak był dziwny i niedorzeczny. Janek umył twarz, uczesał długie włosy, wijące się lekko w pierścienie; suknia jego lubo wytarta, nie była wcale brudną, słowem Janek oczyszczony z błota i kurzu, wcale przyzwoicie wyglądał. Sądziłem zrazu, iż nie dosłyszał słów Joanny; przeciwnie jednak się stało.

— Moja pani — rzekł z wesołym uśmiechem, mylisz się bardzo — ja nigdy nie żebrałem! Jestem co się zowie niepodległy. Mojem dziedzictwem ta głowa, i te dwie ręce! dosyć mi na tém; z niemi przy Boskiéj pomocy, dojdę kiedyś do majątku i znaczenia.

Rozśmiałem się, Joanna odeszła upokorzona. Janek przystąpił do krzesła mego, i zmieniając sposób mówienia, zapytał, czy mi już nie potrzebny.

— Nie odchodź jeszcze rzekłem, czekaj przynajmniéj aż ojciec powróci do domu.

Rozmyślałem na wszystkie strony, jakimby sposobem zachować przy sobie młodego człowieka, któryby mnie tak samotnemu i upośledzonemu z natury, stał się bratem i przyjacielem. Pragnąłem tego, nie tyle z miłosiernych pobudek, jak raczéj wiedziony samolubnym instyktem.

Bądź co bądź, wiem tylko, że od piérwszéj chwili, jakem poznał Janka, pokochałem go, jak drugiego siebie.

— Naleganie moje, aby został, poruszyło go do głębi serca.

— Dziękuję stokrotnie za twą dobroć rzekł, wspierając się o komin, i zasłaniając oczy ręką; zostanę jeszcze z godzinkę.

— Siadaj więc przy mnie — pomówmy z sobą.

Nie pamiętam dziś szczegółów téj pogadanki, wiem tylko, żeśmy rozmawiali o wędrówkach po świecie, o czem chłopcy zwykle mówić lubią. Janek nie znał świata, w którym ja wyłącznie dotąd żyłem.... świata wyobraźni i książek.

— Czy umiesz czytać — zapytał mnie.

— Naturalnie, że umiem.

I uśmiechnąłem się na to, gdyż byłem dosyć zarozumiały, co do mojéj erudycji.

A pisać?

Zastanowił się chwilę.

— Co do mnie, dodał półgłosem, nie umiem pisać i sam nie wiem, kiedy się nauczę. Czy chcesz napisać mi cóś w téj książce?

— Jak najchętniéj.

Wyciągnął z kieszeni mały pokrowiec skórzany, w którym była książka zawinięta w czarny jedwabny szmatek. Otworzył ją: był to Nowy Testament grecki.

— Patrz na to, rzekł — wskazując mi pierwszą stronnicę białą — wyczytałem na niéj:

Ta książka należy do Jerzego Halifax.... Jerzy Halifax, ożeniony z Marją Camble, 17 maja — roku 1779.

Jan Halifax ich syn, urodzony 18 Czerwca 1780 roku. Poniżéj ręką kobiecą, drżącą i niewprawną, dodane było.

Jerzy Halifax umarł 4 Stycznia 1781 roku.

— Cóż mam napisać Janku, zapytałem po chwili milczenia.

— Powiem ci zaraz — czy mam iść po pióro?

— Oparł lewą rękę na mojem ramieniu, w prawéj trzymał książkę.

— No pisz: Marja Halifax umarła 1 Stycznia 1791 roku.

— I nic więcéj.

— Nic.

(d. c. n.)